

EWA DOROBİŃSKA

KORYFEUSZE FILOZOFII JĘZYKA NA CENZUROWANYM (EUGENIUSZ GRODZIŃSKI CONTRA TARSKI, FREGE, CARNAP I MORRIS)

Książka, z której tekstem trudno się zgodzić, jest często ciekawsza od innych, bo inspiruje, skłania do przemyślenia źródeł własnego protestu i uściślenia swego stanowiska. Taką właśnie książką jest dla mnie, wydana przed paroma miesiącami, praca Eugeniusza Grodzińskiego zatytułowana *Koryfeusze nie są nieomylni* (Ossolineum, 1988). Składa się ona z trzech esejów dotyczących zagadnień tak odrębnych, że jedynym bodaj, co je łączy, jest ważność ich przedmiotu oraz wielkość myślicieli, których rozstrzygnięcia teoretyczne autor próbuje podważyć. Zadanie, jakie sobie przy tym stawia, to odważna, pozbawiona nadmiernej admiracji krytyczna analiza kilku wybranych koncepcji z dorobku badawczego czterech wielce cenionych i znanych przedstawicieli logiki i filozofii języka. E. Grodziński sądzi przy tym, że autorytet owych uczonych z pewnością z tego powodu nie ucierpi, że może on *być pomniejszony raczej przez bezkrytyczną apologię, natomiast krytyka błędów (...) może ten autorytet tylko wzmocnić, albowiem wszyscy wiedzą, że nie ma ludzi nieomylnych* (s. 8). Ową uwagę można jak przypuszczam odnieść również do samego Eugeniusza Grodzińskiego i niniejszego tekstu poświęconego jego książeczce, tekstu pozbawionego owej *bezkrytycznej apologii*.

Nawiasem mówiąc nie podzielam poglądu autora, wedle którego wielkość człowieka i jego autorytet naukowy hartuje się w ogniu błędów i kontrowersji, choć wypada przyznać każdemu człowiekowi prawo do omyłek i zabłążeń.

W pierwszym z artykułów E. Grodziński porusza problem możliwości zdefiniowania prawdy w języku naturalnym i polemizuje ze słynnym wynikiem prac Tarskiego, który zagadnienie to rozstrzyga negatywnie.

W rozważaniach Alfreda Tarskiego nad możliwością sformułowania poprawnej definicji prawdy w języku naturalnym ważną rolę odegrał fakt występowania w tym języku tzw. paradoksów, czyli zdań implikujących pary zdań sprzecznych, a w szczególności paradoksu kłamcy. Fakt ten, jak wiadomo, przesądza w przekonaniu Tarskiego o niemożli-

wości podania formalnie poprawnej definicji prawdy dla języka naturalnego. E. Grodziński zaś stawia sobie zadanie, w którym chodzi o *udowodnienie niestuszności zakazu nieskrępowanego operowania pojęciem prawdy w rozważaniach naukowych w języku naturalnym oraz niestuszności zakazu formułowania naukowych definicji prawdy w tymże języku* (s. 37).

Autor próbuje wykazać fałszywość wyniku Tarskiego uzasadniając najpierw swe przekonanie o bezsensowności samego paradoksu kłamcy. Tok tego rozumowania, którego szersze przedstawienie zawarte jest w wydanych kilka lat temu przez tegoż autora *Paradoksach semantycznych* (Ossolineum 1983), można ująć w pewnym skrócie następująco.

Po pierwsze — najstarsze sformułowanie tego paradoksu (przypisywane Eubulidesowi) ma postać zdania: *Wszyscy Kreteńcy zawsze kłamią*, które wypowiada Kreteńczyk Epimenides głosząc jednocześnie fałsz i prawdę. To sformułowanie paradoksu kłamcy nie pociąga jednak zdaniem E. Grodzińskiego za sobą pary zdań sprzecznych. Epimenides musiał skłamać, ponieważ *gdyby było tak, że Kreteńcy zawsze kłamali, to Kreteńczyk Epimenides nie mógłby tego stwierdzić, gdyż byłoby to przecież twierdzenie prawdziwe* (s. 23), o ile — uzupełnijmy tu jednak rozumowanie autora — Epimenides wiedział o nierozzerwalności tej cechy z charakterem swych krajanów. Gdyby przecieź sądził ich inaczej (błędnie) — już mógłby to powiedzieć, ale byłoby to właśnie kłamstwo, choć związane z mimowolnym powiedzeniem prawdy, o czym niżej. Nawiasem mówiąc warto tu też zwrócić uwagę na to, że Epimenides nie mógłby wypowiedzieć tego zdania nie tylko w sytuacji, gdyby wszyscy Kreteńcy zawsze kłamali, a on był tego świadom, ale również wówczas, gdyby w rzeczywistości tak nie było, a niepoprawny kłamec Epimenides żywił jedynie błędne przekonanie o rodakach. Ale w jednej i drugiej sytuacji wypowiedzieć tego zdania rzeczywiście nie mógł, *jeśli jednak tak powiedział, dowodzi to niezbicie, że skłamał* (s. 23) — a przynajmniej — znów dodajmy tu — że skłamał w swym przekonaniu, albowiem obok sytuacji, w której nie jest prawdą, że wszyscy Kreteńcy zawsze kłamią, a prawidłowo oceniający ją Epimenides, wypowiada swoją fałszywą kwestię, zająć może i ta nie podejrzewana przez Epimenidesa okoliczność, że rzeczywiście wszyscy Kreteńcy zawsze kłamią, a nieodrodny syn ziemi kreteńskiej Epimenides wygłasza swą kwestię kłamliwą w intencjach, acz w istocie prawdziwą.

Nawet jednak po tych uzupełnieniach wywodu E. Grodzińskiego konkluzja pozostaje ta sama — Epimenides kłamał, a najstarsze sformułowanie paradoksu kłamcy nie jest żadnym paradoksem.

W nowszych sformułowaniach tego paradoksu używa się zdań samo-

zwrotnych jak np. Ja teraz kłamię lub ZDANIE NAPISANE WERSALIKAMI W VII TOMIE „EDUKACJI FILOZOFICZNEJ” NA STRONIE 125 JEST FAŁSZYWE. Te właśnie zdania samozwrotne — rozumuje E. G r o - d z i ń s k i, mówiąc o samych sobie, a więc zdania, którym odpowiada *ni-by-myśl*, są w istocie wyrażeniami pozbawionymi jakiegokolwiek sensu, a więc nie są w ogóle zdaniami. A skoro nie są zdaniami, to nic z nich wydedukować się nie da, wobec czego z kolei obecność w języku naturalnym tzw. paradoksu kłamcy, który *ujawnia się w świetle analizy jako bezsens (...) nie może w niczym ograniczać zdolności języka naturalnego do wyrażania wszelkich myśli (...) ani do tworzenia i definiowania w języku naturalnym (...) terminów semantycznych* (s. 36), a więc i pojęcia prawdy.

Wywód ten nasuwa jednak szereg konkretnych uwag.

Jeśli nawet wszelkie dające się sformułować w języku naturalnym paradoksy uzna się za bezsensy (a nie za zdania w sensie logicznym), z których wobec tego nie daje się wydedukować żadnych zdań, a więc i pary zdań sprzecznych, to z tych konstatacji nie wynika jeszcze, że paradoksy owe nie są *żadną przeszkodą do operowania tym językiem w rozważaniach naukowych, jak również do poprawnego definiowania w nim pojęcia prawdy* (s. 9).

Pojęcie dedukowania nie pokrywa się wszak z pojęciem wnioskowania — jest odeń znacznie węższe. To po pierwsze.

Po drugie — możliwość przeprowadzenia kunsztownego dowodu bezsensowności np. paradoksu kłamcy, ani nie pociąga za sobą świadomości tego faktu wśród wszystkich ludzi nauki, posługujących się głównie bądź wyłącznie językiem naturalnym, ani — nawet w przypadku uświadomienia sobie powyższego — nie implikuje niemożliwości pojawienia się tego paradoksu w innej, trudniejszej do wykrycia, zawołowanej postaci. Z obu tych uwag nietrudno wyprowadzić wniosek, że faktyczna, możliwa do wykazania bezsensowność paradoksu kłamcy nie stanowi wystarczającej bariery ani dla jego pojawienia się w rozważaniach naukowych, ani dla wywnioskowania (nie: wydedukowywania) z niego zdań. Przy tym drugim przypadku opatrzoność nie czuwa nad tym, aby naukowiec wyprowadził oba zdania sprzeczne z wyrażenia, którego ani bezsensowności, ani paradoksalności nie jest świadom. Sprzeczność jest zawsze wystarczającym sygnałem do rewizji całej teorii, nawet dla osób nie znających podstęp. Toteż gdyby każdorazowy przypadek zaistnienia paradoksu w teorii pociągał za sobą konieczność pojawienia się w niej dwóch zdań sprzecznych, kłopot nie byłby tak wielki i sprowadzałyby się jedynie do żalu za straconym czasem. Problem jednak w tym, że żadnej takiej konieczności nie ma i język naturalny kryje w sobie niebezpieczeństwo mimowolnego popadnięcia w fałsz.

Toteż sędzę, że ostrzeżenie Tarskiego w pełni zachowuje swą ważność. Charakterystyczne dla języka naturalnego istnienie wyrażeń samozwrotnych i związana z tym możliwość formułowania tzw. paradoksów, istotnie nie pozwala ani na formalnie poprawne zdefiniowanie w nim pojęcia prawdy, ani nawet *konsekwentnie i zgodnie z prawami logiki operować tym pojęciem* (s. 9).

Ostrzeżeniu temu przypisałabym jednak niego inną treść niż E. Grodzki, który wyprowadza zeń następujący nakaz skierowany do ludzi parających się nauką: *Jeśli chcecie operować pojęciem prawdy zgodnie z prawami logiki (...), nie posługujcie się językiem naturalnym* (s. 10). I dalej: *Jeśli chcecie zdobywać prawdy naukowe, przejdźcie na języki sformalizowane nauk dedukcyjnych* (s. 18).

Zwróćmy uwagę, że postulat Tarskiego w istocie obliguje do tworzenia nauki wyłącznie w językach nie naturalnych, sztucznych. W sytuacji rozprzestrzeniającej się, a nie zawsze podyktowanej potrzebą manieri formalizowania rozmaitych dywagacji, sprzeciw wobec powyższego *dictum* byłby dla mnie zrozumiały, pod warunkiem, że utożsamimy — za E. Grodzińskim — języki sztuczne z językami sformalizowanymi. Ale właśnie owo utożsamienie może budzić poważne zastrzeżenia, nawet jeśli jest ono tylko chwytem erystycznym ze strony autora. Chwytem mającym na celu pewną radykalizację — i tym łatwiejsze odparcie — przestróg Tarskiego, które tak skrajnie zinterpretowane sprzyjać mogą zalewowi formalizmu stwarzającego często zaledwie pozory ścisłości i klarowności.

Przyjrzyjmy się więc bliżej owemu utożsamieniu języka sztucznego ze sformalizowanym. Granica pomiędzy językiem naturalnym a naukowym nie jest wprawdzie ostra, zwłaszcza przy założeniu, że język naturalny zachowuje swoją tożsamość przy wprowadzaniu doń nowych terminów. Ale mimo to wątpliwości budzi teza, że niesformalizowany język, którym operuje dziś fizyka, biologia, chemia itd., jest językiem naturalnym, a nie sztucznym i to nie tylko ze względu na hermetyczność terminologii. Rozwój wiedzy o języku rugowanie zeń wyrażeń nieostrych, wprowadzanie definicji regulujących oraz projektujących, dbałość o metodologiczną poprawność wnioskowań, odróżnianie rozważań przedmiotowych od metanaukowych itd., wszystko to oddala coraz bardziej nawet niesformalizowane języki nauk szczegółowych od języka naturalnego. Toteż konstatacja Autora, że *dziesiątki (...) tysięcy naukowców na całym świecie nadal prowadzi i prowadzi swe prace w języku naturalnym* (s. 20), wydaje mi się co najmniej nieostrożne, o ile nie jest drugim zabiegiem erystycznym. Autor próbuje przekonać w ten sposób czytelnika o znikomości wpływu dokonań Tarskiego na rzeczywistość, codzienną praktykę badań znakomitej większości ludzi uprawiających naukę, którzy

z powodzeniem posługują się językiem *naturalnym*. Jest to teza moim zdaniem fałszywa. Pozory jej prawdziwości mają swe źródło w kolejnym, *implicite* zawartym w tekście, utożsamieniu języka naturalnego z językiem niesformalizowanym. Trudno mi przystać także na to utożsamienie. To też posługiwanie się przez uczonych językami niesformalizowanymi (resp. *naturalnymi*) po 1933 roku, w którym to Tarski ogłosił swą słynną pracę, nie wydaje mi się aż tak *jawną niekonsekwencją* — jak to określa E. Grodziński — wobec powszechnej akceptacji postawionej tam tezy. Owa *jawna niekonsekwencja*, czyli *nieco paradoksalnie* przedstawiające się zachowanie uczonych można, zdaniem autora, wyjaśnić jedynie fałszywością (określoną w tekście delikatniej mianem *nieshuszności*) przekonania T a r s k i e g o, że w *języku naturalnym nie można ani poprawnie zdefiniować pojęcia prawdy, ani konsekwentnie i zgodnie z prawami logiki nim się posługiwać* (s. 20). Wykazanie tej fałszywości stanowi właśnie cel pierwszego eseju. Ale czy został on osiągnięty? Czy dałoby się z języka naturalnego usunąć możliwość formułowania paradoksów? bądź to samo inaczej — czy język naturalny pozbawiony tej możliwości zachowuje swoją tożsamość? Bo jeśli nie, to w omawianej tu pracy udowodniałoby się co najwyżej tyle, że pojęcie prawdy można zdefiniować i posługiwać się nim w językach niesformalizowanych, ale też *nienaturalnych*. Twierdzenie to zaś nie przeczy tezie Tarskiego.

Drugi esej zawarty w książce E. Grodzińskiego poświęcony jest krytyce Frege'owskiej definicji denotatu zdania jako Prawdy lub Fałszu, definicji frapującej każdego, komu znany jest klasyczny już artykuł tego wielkiego logika *Über Sinn und Bedeutung* z 1982 roku¹.

Zawartej w tej pracy koncepcji denotatu zdania stawia E. Grodziński dwa podstawowe zarzuty: 1. *Zupełny brak harmonii między koncepcją denotatu imienia (nazwy) a koncepcją denotatu zdania.*

2. *Nie usprawiedliwione „zglajchszaltowanie” denotatów wszystkich mających wartość logiczną zdań (...) z podziałem tych denotatów jedynie na prawdę i fałsz, bez żadnego uwzględnienia nieskończonych w swej liczbie różnic treściowych między tymi zdaniami* (s. 48).

O ile zarzut drugi nasuwa się chyba każdemu przy lekturze pracy F r e g e g o, który zdawał sobie sprawę z osobliwości swego stanowiska, o tyle zarzut pierwszy trafia w newralgiczny punkt tej koncepcji, jako że jej przeznaczeniem miała być właśnie realizacja pełnej harmonii między definicjami denotatów nazwy i zdania.

¹ G. Frege: *Über Sinn und Bedeutung*. „Zeitschrift für Philosophie und Philosophische Kritik” 1892, nr 100. Przekłady polskie: *Sens i znaczenie*. W: G. Frege: *Pisma semantyczne*. Warszawa 1977 oraz *Sens i nominat*. W: *Logika i język* (red. nauk. J. P e l c). Warszawa 1967.

E. Grodziński zauważa, że dążenie Fregego do *scalania obu definicji* (s. 60), czy raczej do nadania im analogicznego kształtu formalnego poprzez uznanie za denotaty zdań Prawdy i Fałszu, ma za sobą pewien poważny argument, którego *sam Frege jednak nigdy nie sformułował* (s. 60), ale który przewija się z *różnymi niuansami w obfitej literaturze po-Fregowskiej* (s. 60). Argument ten — referuje dalej E. Grodziński — ma na celu zachowanie pojęcia równoważności zdań w ścisłej odpowiedniości do równoważności nazw. Tym bowiem, co łączyć ma dwie *równoważne nazwy, jest fakt, że oznaczają one ten sam przedmiot* (s. 61), denotat, i tak samo tym, co łączyć ma dwa zdania równoważne *jest to, co mają wspólnego, czyli właśnie wartość logiczna* (s. 61). Stąd płynąć ma (F r e g e) konieczność uznania Prawy i Fałszu za przedmioty stanowiące denotaty zdań, co z kolei jawi się jako jedna z *fundamentalnych tez logiki formalnej* (s. 61), jako jedyna teza pozwalająca na zachowanie tak istotnej, choćby dla klasycznego rachunku logicznego, relacji równoważności między zdaniami, bez której to funkcji prawdziwościowej rachunek ten *istnieć nie może* (s. 61).

Nawiasem mówiąc argumentacja zwolenników Fregego posuwa się w tym ostatnim punkcie stanowczo za daleko. Jeszcze w latach trzydziestych bieżącego stulecia wykazano w badaniach prowadzonych przez Ł u k a s i e w i c z a, że nawet w tzw. funkcjonalnie pełnych systemach klasycznego rachunku zdań można się obyć bez definiowania *explicite* funkcyj równoważności, choć daje się on w tych rachunkach *wyrazić* (np. implikacyjno-negacyjny rachunek zdań Łukasiewicza, czy rachunek zawierający tylko stałą Sheffera). A warto też chyba przypomnieć, że zajmowano się w szkole Łukasiewicza także rachunkami zwięzonymi, w których można by zdefiniować niektóre tylko funkcyj ekstensjonalne.

Wprawdzie trudno przyjąć, że klasyczny rachunek logiczny nie może istnieć bez funkcji równoważności zdań, niemniej istotnie należy ona do najważniejszych pojęć w logice i w metodologii. Istotniejsze polemicznie jest to, o czym autor pisze nieco dalej, że *pojęcie materialnej równoważności zdań nie z pojęcia denotatu zdania zostało wyprowadzone, lecz z pojęcia materialnej implikacji* (s. 63). Przesądza to bowiem o tym, że *wyroczenie się Frege'owskiej koncepcji denotatu zdania w najmniejszym nawet stopniu nie naruszy fundamentów klasycznej logiki formalnej* (s. 63).

E. Grodziński dostrzega w argumentacji pro-Frege'owskiej nieco inny jeszcze powód do jej odparcia. Rozumowanie autora opiera się na odrzuceniu mechanicznego przenoszenia pojęcia równoważności z dziedziny nazw w dziedzinę zdań i rozróżnieniu odpowiednio równoważności denotacyjnej i materialnej. Pojęcie równoważności denotacyjnej (które

nawiasem mówiąc jest tu po prostu równoznacznością nazw) można rozciągnąć na obszar zdań, ale wówczas ich *naturalnymi* denotatami — twierdzi E. Grodziński — będą po prostu fakty, o których się w tych zdaniach mówi. Sądzę, że autor zgodzi się z tym, że w tak pojętej równoważności denotacyjnej zarówno nazwa, jak i zdanie potraktowane zostają jako znaki, a więc jest ona definicyjnie sprowadzalna do relacji tożsamości między denotatami (czy inaczej desygnatami, ale nie znaczeniami) znaków.

Analogiczne rozszerzenie pojęcia o nazwy zakresu równoważności materialnej, czyli relacji posiadania tej samej wartości logicznej — kontynuuje autor — prowadziłyby do tego, że za materialnie równoważne uznalibyśmy wszystkie nazwy niepuste z jednej strony, a z drugiej — wszystkie puste.

Ponieważ myśl powyższa wydaje się godna uwagi, a całość rozumowania sprawia wrażenie entymematycznego, narzuca mi się tu konieczność pewnych dopowiedzeń. Tym bardziej, że autor wykazuje iż Frege'owska koncepcja denotatu zdania wywodzi się z pojęcia równoważności materialnej i że wobec tego przy definiowaniu denotatu nazwy *F r e g e* nie zachowuje się zgodnie z prawami konsekwencji. Ta bowiem wymagałaby — zdaniem E. Grodzińskiego — za *denotat (wspólny denotat) wszystkich nazw niepustych uznać byt, rzeczywistość, za denotat wszystkich nazw pustych — niebyt* (s. 62).

Ale dlaczego właśnie tak? Myślę, że autor zgodziłby się z następującą rekonstrukcją swej, demonizowanej przeze mnie, intuicji. Równoważność materialna pomiędzy dwoma zdaniami sprowadza się do tożsamości ich wartości logicznej. Wartość logiczna zaś, prawda czy fałsz, jest cechą relacji semantycznej pomiędzy zdaniem a tym, do czego ma się ono odnosić. A więc równoważność materialna jest sprowadzalna definicyjnie do relacji tożsamości cech odniesienia semantycznego, polegających na tym, że zdanie *trafia* (prawdziwe) lub *nie trafia* (fałszywe) w *rzeczywistość*, czyli że zdanie ma, bądź nie swój odpowiednik (np. fakt) w rzeczywistości. Jeśli w podobnym sensie będzie się mówić o równoważności nazw, to po pierwsze trzeba by mówić o ich prawdziwości i fałszywości (w znaczeniu owego *trafiania*, czyli faktu posiadania denotatu). Ale gdyby na to przystać, to analogicznie jak w przypadku zdań — prawdziwość i fałszywość byłyby tu cechami odniesienia semantycznego nazw, a równoważność materialna — tożsamością owych cech. Równoważne sobie byłyby więc rzeczywiście — co jak dotąd zgodne jest z wnioskiem E. Grodzińskiego — z jednej strony wszystkie nazwy puste (*fałszywej* i z drugiej wszystkie nazwy niepuste (*prawdziwej*). Ale też tym, co wspólne dla tak równoważnych nazw byłaby ich *wartość logiczna*, a nie przedmiot przez nie nazywany. Wydaje się więc, że w tej sytuacji *F r e g e* winien by za denotaty

nazw przyjąć raczej również Prawdę i Fałsz, a nie byt (rzeczywistość) i niebyt, jak konkluduje E. Grodziński.

Jednakże tak czy inaczej niekonsekwencja Fregego w *scalaniu definicji denotatu nazwy i zdania* została wykazana.

Warto przy tych rozważaniach zwrócić uwagę na naszkicowaną przez autora koncepcję *denotatu zdania jako faktu rzeczywistości* (s. 64). Jest to bowiem ujęcie intuicyjne trafne i klarowne, dopóki bierzemy pod uwagę tzw. proste zdania atomiczne i zdania złożone za pomocą niektórych spójników ekstensjonalnych (np. koniunkcji). Zawilości pojawiają się jednak w odniesieniu do zdań składanych za pomocą wyrażen intensjonalnych: *jest możliwe, że jest konieczne, że*, czy zdań zawierających tzw. *explicit performative* itd. Autor próbuje pokazać możliwości uniknięcia tych komplikacji na kilku przykładach. Sprawiają one wrażenie klarowności dzięki ich doborowi, dość pobieżnej analizie i braku jakiegokolwiek precyzacji pojęcia faktu. Pojemność zakresu tego terminu winna być przestrożą przed zbyt pospieszną akceptacją wypowiedzianych tu przekonań. Nieokreśloność tego pojęcia uwidacznia się choćby w takim wyrażeniu, jak *nie istniejący fakt*, używanym przez E. Grodzińskiego jako nazwa denotatu zdania fałszywego. Dostrzec ją można w przypadku ustalania denotatu niektórych prawdziwych zdań złożonych ekstencjonalnie, np. warunkowych. Zdanie takie, jak wiadomo, zachowuje swą prawdziwość przy trzech odmiennych stanach rzeczywistości (takie ujęcie faktu można odczytać między wierszami eseju E. Grodzińskiego), czyli przy trzech różnych *faktach*. Którego z nich zdanie to dotyczy? A może chodzi właśnie o fakt w innym znaczeniu? No właśnie, dlatego treść tego pojęcia należy starannie przemyśleć i określić, zanim się go użyje, a i potem (co oczywiste) używać go konsekwentnie, by wywód był zrozumiałym. W przeciwnym przypadku posługiwanie się nim może wzbudzić wątpliwości nawet w stosunku do najtrafniejszych intuicji.

Wróćmy jednak do zastrzeżeń kierowanych przez Autora pod adresem koncepcji Fregego. Kolejne z nich dotyczy samego pojęcia prawdy, którego — jak zwraca uwagę E. Grodziński — Frege nigdy nie wyjaśnił, odrzucając jednocześnie stanowczo *Arystotelesowską koncepcję prawdy jako zgodności zdania z rzeczywistością* (s. 49). Uderza to dodatkowo w koncepcję Prawdy jako denotatu zdania, dając z jednej strony podstawę do wytknięcia błędu definiowania zwanego *ignotum per ignotum* i z drugiej asumpt do dalszej analizy krytycznej. W tej jednak sprawie odsyłam Czytelnika do omawianej tu książki, podobnie jak w kwestii krytyki linii dowodowej, którą posuwa się F r e g e wskazując, że Prawda i Fałsz stanowią denotaty zdań.

Z krytyką tą bowiem trudno się nie zgodzić. A jednak poczucie satysfakcji z takiego usankcjonowania własnego sprzeciwu wobec rozwiązań

F r e g e g o i własnych wątpliwości idzie w parze z uczuciem tajemniczości rzeczywistych motywów, które skłoniły wielkiego filozofa do przyjęcia takiego właśnie stanowiska. Może Prawdę i Fałsz rozumie F r e g e ontologicznie — pisze wszak w tej samej pracy, że sądenie *polega na różnieniu części w obrębie wartości logicznej*². Może więc właśnie koncepcja Lewisa, omówiona przez autora w dodatku poświęconym recepcji myśli F r e g e g o, chwyta najcelniej owe motywy. Lewis formułuje postulat, *ażeby każde zdanie prawdziwe, nawet traktujące o najbliższym, najbardziej partykularnym fakcie (...), było rozpatrywane w łączności z całością Wszechświata, a z tego bezpośrednio wypływa konkluzja, iż każde zdanie prawdziwe denotuje Wszechświat*, (s. 77) Trudno się jednak pogodzić z sugestią E. G r o d z i ń s k i e g o, że F r e g e nie miał żadnych motywów skłaniających go do przyjętej decyzji, *bo gdyby je miał, bez skrupowania by je ujawniał* (s. 85).

Esej zakończony jest krótkim omówieniem logiki nie-Frege'owskiej, dzieła Romana Suszki, logiki odczuwającej właśnie aksjomat F r e g e g o *o tożsamości denotatu zdania z jego wartością logiczną*. System logiczny Suszki stanowi więc stanowcze, dawno oczekiwane zerwanie z *wypranym z wszelkiej treści* (s. 87) dogmatem F r e g e g o i pierwszy krok w kierunku *niezbędnej reformy w logice i filozofii języka* (s. 89), którą postuluje E. Grodziński.

Trzeci artykuł został poświęcony Carnapowsko-Morrisowskiej koncepcji semantyki i jej stosunku do pragmatyki, a więc zagadnieniu niesłychanie zawilemu, obrosłemu rozmaitymi tradycjami i przyzwyczajeniami terminologicznymi, zagadnieniu, które jednak wymaga uporządkowania ze względu na jasność badań i ich przedmiot. Ta część książki E. Grodzińskiego wydaje mi się najważniejsza, jako że jej temat wiąże się z szeregiem fundamentalnych zagadnień nie tylko w filozofii języka, ale i w całej semiotyce.

Autor dyskutuje ze znanym w tej materii stanowiskiem C a r n a p a i poglądami Morrisa. Ponieważ cała ta sprawa sięga samych fundamentów semiotyki, czyli tak podstawowych dla niej pojęć, jak znak, znaczenie, desygnat, denotacja, prawda, to dyskusja, jaką przeprowadza autor jest także inspirująca.

E. Grodziński dostrzega sprzeczność w Carnapowskiej koncepcji semantyki i jej miejsca względem pragmatyki. Sprzeczność ta zachodzi, jego zdaniem, pomiędzy dwoma odrębnymi w istocie ujęciami semantyki. Polega zaś na tym, że w pierwszym przypadku pragmatyka uznana zostaje za *podstawę całokształtu lingwistyki*, jako że tylko na drodze ustaleń empirycznych (w *drodze obserwacji pragmatycznej*), (s. 94), można po-

² G. F r e g e: *Sens i nominat*, op. cit., s. 235.

znać właściwe danemu językowi odniesienie semantyczne i jego syntetykę. Pragmatyka jest tu zawsze początkiem badań danego konkretnego języka, a abstrahowanie od ludzkich zachowań językowych, czyli przejście na płaszczyznę semantyczną (opisową czy czystą), jest czynnością późniejszą i stanowi *odróżnik badań semantycznych od badań pragmatycznych* (s. 96). W drugim ujęciu natomiast semantyka opisowa wraz z syntaktyką uznane zostają już nie za rozłączne z pragmatyką (rozłączne pozostaje semantyka czysta), ale za jej części.

Sprzeczności *sensu stricto* pomiędzy powyższymi dwiema koncepcjami semantyki nie dostrzegam. Obie przy pewnym — skądinąd bliskim chyba Carnapowi — ujęciu problemu można uznać za fałszywe, mianowicie wówczas, gdy istotę relacji między semantyką a pragmatyką upatrywać w ich krzyżowaniu się. Natomiast zachodzi to wykluczanie się, choć i to można zakwestionować zważywszy, że semantykę czystą dalej uważa Carnap za rozłączną z pragmatyką. Inne jest teraz tylko, jak pisze E. Grodziński, kryterium tego odróżnienia — pragmatyka to zespół badań nad językami naturalnymi, semantyka — nad sztucznymi. A jednak, *jak się okazuje (...) nie ma żadnego chińskiego muru między czystą semantyką (...) a pragmatyką. Cała semantyka wywodzi się z pragmatyki* (s. 103). Carnap pisze (cytuję za E. Grodzińskim): *Wiele pojęć używanych dzisiaj w semantyce czystej, zostało w istocie zasugerowanych przez odpowiednie pojęcia pragmatyczne*, (s. 103)

Odnoszę wrażenie, że w tym zamęcie pojęciowym na nieporozumienie dotyczące wzajemnego stosunku semantyki i pragmatyki nakłada się pomieszanie dwóch porządków postępowania: toku badawczego i toku wykładu, arystotelesowskiego porządku poznania i porządku uzasadniania. Konieczność i fakt rozpoczynania badań nad jakimś nieznanym dotąd językiem etnicznym od empirycznych danych o zachowaniach językowych jego użytkowników stanowić mogą argument za podporządkowaniem semantyki pragmatyce jedynie w procesie poznania. Natomiast stwierdzenie to nie nadaje się jako argument na rzecz włączania semantyki w zakres pragmatyki w porządku teoretycznym, w porządku wykładu, uzasadniania. Samo uświadomienie sobie faktycznego i zarazem koniecznej kolejności badań pozostawia otwartą kwestię, czy użytkownicy posługują się poszczególnymi wyrażeniami w określony sposób dlatego, że wyrażenia te mają już pewne zastane przez nich znaczenia (pierwotność semantyki), czy też wyrażenia te mają określone znaczenie dlatego, że użytkownicy posługują się nimi w taki a nie inny sposób (pierwotność pragmatyki). Intersubiektywne utrwalanie się odniesień semantycznych, którym podporządkować się musi każdy użytkownik języka, o ile chce być przez innych rozumiany, mogłoby przemawiać za pierwszym rozwiązaniem. Za drugim natomiast — że samo owo utrwalanie dokonuje się w ludzkiej praktyce

językowej. Pierwsze rozwiązanie jest punktem widzenia uspołeczniającej się jednostki, dla której język jest czymś zastanym, gotowym. Język jest jednak narzędziem porozumienia całej wspólnoty i w ostatecznym rachunku ona to decyduje o sposobie używania wyrażań. To dopiero w moim przekonaniu stanowi pewien argument za rozwiązaniem drugim, a więc za podporządkowaniem semantyki pragmatyce w porządku teoretycznym.

Trafne natomiast wydają się przytoczone przez E. Grodzińskiego uwagi na temat trudności ze zdefiniowaniem tradycyjnie już podstawowych pojęć semantyki, takich jak znaczenie, denotacja, desygnat i prawda przy jednoczesnym abstrahowaniu od użytkownika języka. Z jednej strony definiowanie samego pojęcia znaku (i pojęć z nim związanych) odwołanie się do jego użycia wydaje mi się ze wszech miar uzasadnione. Z drugiej — pragmatyka wydawała mi się zawsze dziedziną badań nadbudowaną teoretycznie nad semantyką i to w ten właśnie sposób, że uwzględnia się w niej nieobecne w semantyce zagadnienia relacji zachodzących pomiędzy użytkownikiem a językiem. Stąd jednak wyłania się poważny problem. Mianowicie — jak pogodzić definiowanie znaku za pomocą ujęcia użycia, czyli definiowanie z istoty swej pragmatyczne z pragnieniem zachowania semantyki jako abstrahującej od użytkownika owego znaku. Dostrzegam jednak pewną możliwość rozwiązania tej kwestii.

Otóż jeśli nawet znaczenia uznać za byty czysto psychiczne, a w każdym razie istniejące jedynie w umysłach użytkowników znaków, to tak jak relacje zachodzące pomiędzy tymi znaczeniami już od użytkowników nie zależą, tak też nie zależą od nich relacje między owymi znaczeniami a odpowiadającymi im (bądź nie) bytami. Takim znakiem językowym jak na przykład Hektor czy Achilles mogą przypisywać różne znaczenia, ale jeśli przypiszę im znaczenie zgodne z tekstem *Iliady*, to nie mam już żadnego wpływu na stosunki panujące pomiędzy Hektorem a Achillem, tak jak nie mam żadnego wpływu na sposób istnienia desygnatów nazw Hektor i Achilles.

Wydaje się więc, że można uprawiać semantykę abstrahując od użytkownika znaku i jednocześnie uznawać, że sam znak konstytuuje się dopiero w procesie użycia. Poważniejsze problemy nastęczyłyby w tym względzie wyrażenia i zdania okazjonalne, których istnienia używa autor jako argumentu na rzecz niemożliwości takiego abstrahowania. W każdym razie semantyka byłaby rzeczywiście fragmentem pragmatyki, choć sprawa precyzacji kryterium ich odróżnienia pozostaje otwarta. Należałoby więc zgodzić się z E. G r o d z i ń s k i m, że wszystkie podstawowe pojęcia semantyczne, wbrew Carnapowskiej koncepcji semantyki, mają w istocie charakter pragmatyczny. Szczególnie wyraźnie prześledził to autor na przykładzie pojęcia znaczenia, w którego rozmaitych definicjach (psychologicznej, pragmatycznej, operacjonistycznej i behaviorystycznej) do-

strzegł elementy pragmatyczne. Brak tych elementów w Carnapowskiej definicji znaczenia jako bytu fizycznego prowadzi do poważnych perturbacji w przypadku nazw pustych i zdań fałszywych, gdyż okazują się one po prostu bezsensowne. Nawiasem mówiąc nie mogą się tylko zgodzić z twierdzeniem autora, iż *teza Carnapa, że semantyka zawiera teorię znaczenia, jest sprzeczna z jego własnym zasadniczym postulatem, iż wszelkie badania semantyczne powinny abstrahować od użytkowników języka* (s. 128). Wprawdzie uzasadnione jest zdanie Grodzińskiego, że *realizując ten postulat, znaczeń wyrażen języka wyjaśnić niepodobna* (s. 128), ale jest to stwierdzenie spoza teorii Carnapa. Wewnątrz jego koncepcji, jak zresztą sam autor wcześniej przyznaje, definiuje się znaczenie właśnie w terminach czysto semantycznych, abstrahując od użytkowników języka, a więc żadna sprzeczność się tam nie pojawia, pomimo innych trudności, na jakie wskazuje Grodziński.

Wracając zaś do pragmatycznego charakteru pojęć semantycznych, nasuwa się następująca konkluzja: jeżeli nawet przy definiowaniu owych pojęć musimy odwołać się do aparatu terminologicznego pragmatyki, to dlaczego mielibyśmy odwoływać się do niego nieustannie rozpatrując dalej relacje zachodzące między obiektami zainteresowania semantyki? Intuicję tę spróbuję wyjaśnić na następującym, prostym, jak mi się zdaje, przykładzie.

Można uważać, że istotą stałych logicznych w klasycznym rachunku zdań jest ich sens prawdziwościowy, dający się sprecyzować w tzw. macierzach logicznych. Tymczasem uprawia się ten rachunek w sposób aksjomatyczny czy założeniowy, nie odwołując się przy tym do pojęć prawdy i fałszu dalej, niż w procesie ustalania aksjomatów i reguł inferencji.

Wypada się teraz cofnąć, jeśli chodzi o kolejność rozważań E. Grodzińskiego, do momentu, w którym autor wysuwa zastrzeżenia w stosunku do przekonania Carnapa o braku zawartości faktycznej w semantyce czystej, a więc w stosunku do przekonania o jej analityczności. Rzeczywiście niełatwo się pogodzić z takim spojrzeniem na semantykę, zwłaszcza że Carnap — jak zauważa autor — dopuszcza jej budowę w ścisłym związku z danym historycznie językiem. Ale też nawet w przypadku semantyki całkowicie dowolnej trudno byłoby się pogodzić z tezą o braku w niej zawartości faktycznej, jednak z powodów nieco innych niż podany przez Grodzińskiego, a mianowicie, że terminy takie, jak *oznaczanie* czy *prawdziwy* nie byłyby w ogóle do pomyślenia inaczej niż na bazie realnie istniejących języków etnicznych (s. 98). To prawda, że nie byłyby do pomyślenia, ale dlatego tylko, że samo myślenie bez języka obejść się nie może. Zważmy też, że wieki całe obchodziło się ono bez pojęcia metajęzyka, którego wprowadzenie umożliwiło dopiero precyzację pojęć takich jak *oznaczanie* czy *prawdziwy*, oraz budowę prawdziwej se-

mantyki (przypomnieć tu warto Ajdukiewiczowskie próby definiowania w terminach jeszcze czysto syntaktycznych pojęcia znaczenia i uświadomić sobie istotę osiągnięć Tarskiego). Toteż byłabym nieco ostrożniejsza w uznawaniu języków etnicznych za bazę semantyki.

Jeżeli jednak autorowi chodzi o to, że języki etniczne są dla pojęć semantycznych bazą jako pewien materiał empiryczny, to przyznać muszę, że fakty z historii nauki przemawiają za tym stwierdzeniem. Mimo to potrafię sobie jednak wyobrazić inną genezę tych pojęć. Każdy system znaków mógł stanowić taki materiał empiryczny, a więc pojęcie to byłoby do pomyślenia inaczej niż *na bazie realnie istniejących języków etnicznych*. Nie zmienia to przy tym faktu, że samo to *pomyślenie* wymaga jakiegoś języka.

Zawartość faktyczna, czy — może lepiej — ważność empiryczna wszelkiej semantyki wynika więc raczej po prostu stąd, że jest ona fragmentem nauki o znakach, a posługiwanie się znakami jest zjawiskiem realnym. Skądinąd wydaje się, że wypowiedź Carnapa, jakoby semantyka czysta pozbawiona była zawartości faktycznej, kryje tę tylko myśl, że oddając w większym lub mniejszym stopniu realne odniesienie semantyczne jest ona tworem modelowym, budowanym w celu łatwiejszego wykrycia rozmaitych prawidłowości. Wykrywanie to zaś liczy się raczej z prawami logiki niż z faktami i z tego względu semantyka taka jest analityczna.

Jeśli jednak rozumieć analityczność semantyki czystej jako poddanie się prawom logiki, a jej brak zawartości faktycznej jako zwykłe abstrahowanie od faktów, to wypada ustosunkować się do kolejnej kwestii podniesionej przez autora. Chodzi mianowicie o podejrzenie Martina, że taka semantyka czysta, w której członami relacji semantycznych są właściwie wyłącznie wyrażenia językowe, jest w istocie syntaktyką. Można chyba jednak spojrzeć na to zagadnienie inaczej. Tam, gdzie znaki oznaczają inne znaki mamy jednak do czynienia z oznaczaniem, w której to relacji zasadniczo jeden tylko człon nazwany być może we właściwym sensie tego słowa znakiem, drugi zaś — jego denotatem, desygnatem itd., choć sam w odniesieniu do innego obiektu ma lub może mieć naturę znakową. Po między znakami zachodzić mogą nie tylko relacje syntaktyczne, ale i czysto semantyczne.

Przeprowadzona przez E. Grodzińskiego krytyka Morrisowskiej koncepcji semantyki i pragmatyki posuwa się torem podobnym jak krytyka myśli Carnapa. Z tą może tylko różnicą, że u Morrisa behawiorystyczne określenie semantycznego pojęcia sygnifikacji prowadzi, jak pokazuje autor, o wiele prostszą drogą do podporządkowania semantyki pragmatyce, co dzieje się jednak wbrew woli samego Morrisa.

E. Grodziński stoi na stanowisku, iż *funkcjonowanie pragma-*

tyki obok semantyki (która jest absolutnie niezbędna) komplikuje badania lingwistyczne (s. 182—183). Stan rzeczy, w którym pragmatycy są bardzo czynni i coraz silniejsi, wydają olbrzymią literaturę i wcale nie wyglądają na to, żeby zgodzili się ze swej dyscypliny zrezygnować, a jej problematykę (...) wcielić znów (...) w ramy semantyki (s. 183), powinien być, według E. Grodzińskiego, stanowczo zniesiony. Jego trwanie na dłuższą metę wprost kompromituje środowisko naukowe (s. 182).

Przyjrzyjmy się bliżej tak kategorycznej opinii, a szczególnie argumentom autora przemawiającym za koniecznością utożsamienia semantyki i pragmatyki. Przede wszystkim niejako zdziwienie budzi decyzja o rezygnacji z pojęcia pragmatyki a nie semantyki, zwłaszcza, że w poprzednich rozdziałach podkreślano nieodzowność istnienia pragmatyki i niemożliwość uprawiania czystej semantyki. Czyż nie za daleko idzie to żądanie wobec owych *czynnych i coraz silniejszych* pragmatyków, szczególnie, że ta ich moc winna cieszyć krytyka semantyki C a r n a p a.

Ale w końcu nazwy pragmatyka i semantyka to tylko słowa i jeśli się uważa, że ich zakresy się pokrywają, to racjonalny wybór można zastąpić losowaniem.

E. Grodziński przytacza kilka argumentów za utożsamieniem semantyki i pragmatyki. Jest wśród nich i teza o charakterze historycznym, według której *gdyby nie przyjęty przez Carnapa pomysł Morrisa wyróżnienia pewnej części semantyki i lingwistyki i ochrzczenia jej nazwą pragmatyka, ani pojęcie pragmatyki, ani jej nazwa do lingwistyki by się nie przedostały* (s. 142). Przypuszczenie to popiera autor swym przekonaniem, że ojciec współczesnej semiotyki, Ch. S. P e i r c e *nie mógłby się zgodzić na Carnapowsko-Morrisowskie określenie semantyki jako działu semiotyki obejmującego badanie znaków i ich obiektów z oderwaniem od ludzi posługujących się znakami* (s. 143). Pozwolę sobie jednak przypomnieć, za H. Buczyńską-Garewicz (zob. np. *Słowo wstępne* do książki M. B e n s e — *Świat przez pryzmat znaku*³ — stąd pochodzą cytaty), że w ontologii reprezentacji P e i r c e' a *rozumiejąca percepcja nie konstytuuje znaku, że interpretant to znak, w którym interpretuje się znaczenie znaku poprzedzającego, a więc jest nie interpretatorem, lecz znaczeniem znaku, a także, że interpretacja jest jak gdyby wewnętrzną funkcją samego świata znaków*. W związku z tym właśnie *cała triadyczna definicja znaku obywa się bez uwzględnienia użytkowników (...) znaku*. Wnioski nasuwają się same.

Do argumentów przytoczonych już wcześniej w związku z polemiką z poglądami Carnapa, dołącza autor przekonujący przegląd różnych typów wypowiedzi, których znaczenie daje się ustalić jedynie poprzez ana-

³ M. Bense: *Świat przez pryzmat znaku*. Warszawa 1980.

liżę kontekstu użycia. Ma to stanowić uzasadnienie twierdzenia, że *znaczenie wyrażenia językowego i jego użycie są nierozdzielne* (s. 151), a w związku z tym, że semantyki bez pragmatyki uprawiać się nie da, a samo *odróżnienie semantyki od pragmatyki odpowiada odróżnieniu użycia wyrazów w znaczeniach słownikowych od ich użycia w znaczeniach wykraczających poza ramy słownika, lecz wręcz je gwałcących* (s. 169). Nie zagłębiając się już w to wątpliwe odróżnienie (wszak semantyka nie abstrahuje w tym ujęciu od użytkownika i kontekstu użycia, choćby ten ostatni miał okazać się wobec znaczenia wypowiedzi całkowicie neutralny), zapytać chcę tylko o sens wyrażenia *znaczenia słownikowe*. Jeśli rzeczywiście znaczenie i użycie są nierozdzielne, to nie ma żadnych znaczeń poza ich konkretnymi użyciami. A zatem nie rozumiem z czym te ostatnie mają być zgodne lub niezgodne?

Może jednak warto więc w obrębie badań pragmatycznych pozostawić miejsce dla semantyki i pozwolić jej abstrahować od konkretnych użytkowników, aby w ich zachowaniach językowych mogła odnaleźć pewne prawidłowości? Autor sam przytacza następującą wypowiedź J. K a t - za: *Należy odróżnić „znaczenie gramatyczne” (czyli „znaczenie zdania”) od „znaczenia w kontekście” (czyli „znaczenia wypowiedzi”): pierwsze reprezentowane jest przez interpretację semantyczną, drugie przez interpretację pragmatyczną* (s. 180). Czyż trzeba jeszcze lepszego określenia zakresów kompetencji semantyki i pragmatyki?